

# Marian Filar

---

## Jesienne róże

---

Palestra 51/11-12(587-588), 105-106

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Marian Filar

## Jesienne róże

Coraz częściej łapię się na tym, że staję się monarchistą. I to w skrajnej postaci tej koncepcji – absolutnej monarchii dziedzicznej. W takiej bowiem formacji nie ma żadnych wyborów. A u nas są co chwila jakieś. I jak się przypatrzemy, co się w związku z nimi dzieje, nietrudno dojść do wniosku, że lepszy już będzie dziedziczny absolutny król. A dzieje się, dzieje!

Przypomina to trochę kryptę, w której wraz z wybiciem północy robi się wyraźne ożywienie. A nadmiernie ożywni jej mieszkańcy przypawić mogą niejednego o gęsią skórkę. I tak się jakoś dziwnie porobiło, że ulubionym miejscem ich harców staje się dziedzina prawa karnego. Jak grzyby po deszczu pojawiają się wówczas nowe inicjatywy legislacyjne, które nie tylko „zgeścić” mogą skórę, ale i zjeżyć włosy.

Ledwie co, młody, ambitny minister rozpedził komisję kodyfikacyjną prawa karnego składającą się z najwybitniejszych polskich teoretyków i praktyków prawa karnego (piszę to z czystym sumieniem, bo nie byłem jej członkiem), a już nowa, na poły anonimowa, składająca się z ministerialnych urzędników pod wodzą ministerialnego profesora, bez wątplenia kompetentnego kryminologa, który jednak ma nieco skromniejsze osiągnięcia w zakresie dogmatyki prawa karnego (a to przy pisaniu kodeksów niezbędne), zaserwowała nam produkt swych wysiłków, który trafił właśnie pod obrady Sejmu. I choć nazwano go skromnie nowelizacją obowiązującego k.k., w istocie rzeczy to żadna nowelizacja, tylko totalna rekodyfikacja stanowiąca w istocie nowy Kodeks karny. Choć taki on nowy, jak ja chiński cesarz. W swym duchu, a bardzo często i literze, to wierna kopia PRL-owskiego kodeksu z 1969 r., który to, jak pamiętamy, spowodował, że pod koniec epoki gierkowskiego baroku w polskich kryminałach przebywało ponad 120 tys. skazanych (przy przestępczości o połowę mniejszej niż obecnie), co w tzw. wskaźniku prizonizacji

(skazani na 100 tys. mieszkańców) plasowało nas w najściślejszej światowej czołówce i spowodowało dramatyczne kryzysy w więziennictwie, kończące się często poważnymi buntami. Projekt ten przeleżał się zresztą dobre parę lat w Sejmie, by znów odżyć na okres przedwyborczych godów.

Felieton to nie miejsce na szczegółową analizę projektów legislacyjnych. Można tu jednak najogólniej powiedzieć, iż cechuje się on drastycznym zaostrzeniem represyjności i „usztynieniem” elastyczności polityki karnej. Propozycje te składane są w sytuacji, gdy przeludnienie polskich zakładów karnych sięga już teraz 20%, a przed ich bramami stoi 40-tys. kolejka oczekujących na zakwaterowanie. Wszystko to w dodatku w okresie, gdy przestępczość, w ostatnich latach, ustabilizowała się, a nawet wskazuje w niektórych jej rodzajach pewną tendencję spadkową. Trudno więc uznać poczynania takie za coś innego niż zwykły przedwyborczy populizm.

Populizm jednak to zarówno kij, jak i marchewka. W charakterze marchewki zaserwowano nam nieporadne gmerania przy tradycyjnych dla prawa karnego instytucjach obrosłych już doktryną i orzecznictwem, i spełniających swą rolę jako element stabilizujący orzecznictwo i świadomość prawną. Mam tu na myśli instytucję obrony koniecznej, która w tych projektach obrasta grzybami jakichś ekscentrycznych i nieprzemyślanych pomysłów. Jeśli bowiem do dotychczasowej jej konstrukcji dodaje się kolejny supereksces, który nie jest już tylko ustawową klauzulą bezkarności, lecz wręcz okolicznością powodującą niepodleganie karze (chodzi o eksces obrony przy wdarciu się napastnika do cudzego domu, mieszkania lub samochodu), trzeba liczyć się z tym, że nie tylko destabilizuje się dotychczasowy sens i budowę tej instytucji, ale stwarza z jednej strony niebezpieczne możliwości ewidentnych nadużyć prawa, z drugiej zaś osiągnięcia skutków przeciwnych do zamierzonych. Jakiż bowiem prokurator odważy się umorzyć postępowanie karne w sytuacji, gdy będzie miał do czynienia z poważnym naruszeniem dóbr wdzierającego się w wyniku ciężkiego ekscesu. Sprawa więc tak czy siak trafi do sądu. A tłumaczenie, że tak jest np. w Ameryce, gdzie króluje zasada „mój dom jest moją twierdzą”, jest rażąco naiwne, gdyż nie żyjemy w Ameryce, gdzie zasada ta zrodziła się na preriach Dzikiego Zachodu, w sytuacji gdy np. wizyta Indianina w małym domku na prerii Kentucky czy Teksasu oznaczała niechybnie, iż zamierza on zedrzeć z gospodarza skalp, a z gospodyni odzież, i nie było co dumać, tylko trzeba było strzelać.

Z innych „dobrych” przedwyborczych pomysłów wymieńmy tu tylko zakusy ograniczenia niezawisłości sądów czy iście kuriozalny pomysł oparcia korporacyjnej odpowiedzialności zawodowej adwokatów (i zawodów pokrewnych) na technice oskarżania ich przez prokuratora przed sądem. I wszystko to po to, by w jesiennych wyborach zaskarbić sobie łaski mniej zorientowanych. No i jak tu nie tęsknić za monarchią? Nowelizacyjne róże do Przedwyborczego Kożucha pachną bowiem mocno podejrzanie.